

europa czyta/kryminał



Szczodre Gody

MICHAEL KOBR
VOLKER KLÜPFEL



akcent

SZCZODRE GODY

Volker Klüpfel, Michael Kober

SZCZODRE GODY

Przełożył Grzegorz Zaręba

Raubnacht

© 2009 Piper Verlag GmbH

Szczodre Gody

© 2011 BC Edukacja sp. z o.o.

WYDAWNICTWO AKCENT · WARSZAWA 2011 · WYDANIE PIERWSZE
ISBN 978-83-7802-124-7

*Dla moich trzech dziewcząt
Michi*

*Dla mojego Promyczka
Volker*

SPIS TREŚCI

Piekielna jazda, część pierwsza	· 9
Zabawę czas zacząć	· 16
Przemiana	· 24
Dziwny żart	· 38
Cisza przed burzą	· 48
Jedenaścioro przy stole	· 58
Zagadkowe odkrycie	· 82
Niesamowita droga	· 94
Biały grobowiec	· 109
Fatalne podejrzenie	· 117
Nieproszeni goście	· 125
Stryczki	· 129
Podwójny trop	· 132
Dżemułka	· 137
Tajemnicza szklanka	· 152
Randka z trupem	· 158
Pytania, pytania	· 160
Znalezisko w śniegu	· 183
Tajemnica zamkniętych drzwi	· 221
Śmierć przychodzi dwa razy	· 241
Zgubiony trop	· 247
Kurtyna opada	· 266
Wielki wybuch	· 282
Biały pająk	· 304
Zabawa skończona	· 341
Niespodziewany gość	· 361
Piekielna jazda, część druga	· 368

PIEKIELNA JAZDA, CZĘŚĆ PIERWSZA

Skulony na tylnym siedzeniu Kluftinger wciągał w płuca ciepłe, wilgotne powietrze. Zmęczonym wzrokiem śledził mijany krajobraz Allgäu, który wydawał mu się tak nierzeczywisty, jakby był makietą kolejki elektrycznej. Aby zwalczyć nudności, od których na czoło wystąpił mu zimny pot, oparł głowę o zaparowaną szybę. Jej chłód przyniósł mu ulgę.

Jeszcze przed kilkoma tygodniami wszystko w jego życiu wyglądało tak pięknie. Wspaniałe babie lato ustąpiło październikowej złotej jesieni. Wprawdzie komisarz mógł cieszyć się nią dopiero, gdy ukazała światu swe zimne, mokre oblicze, ale najważniejsza była ulga, że tegoroczne lato tak szczęśliwe się skończyło. Lato, którego nie zapomni do końca życia...

Również Boże Narodzenie przed tygodniem, które spędził z rodzicami, synem i jego dziewczyną, miało niezwykle, harmonijny przebieg.

– Oj! – Dziura w drodze spowodowała, że jego żołądek na moment niebezpiecznie podskoczył.

– Wszystko w porządku tam z tyłu, w klasie ekonomicznej?

Kluftinger spojrział w lusterko i potakująco skinął głową. Zamiast twarzy kierowcy dostrzegł tylko parę błyszczących oczu w ogromnych okularach. Spojrzenie, które napotkał, wyrażało obietnicę. Obietnicę, że nadchodzące dni będą piekłem. Jak mógł się na to zgodzić? Jak mógł przyjąć zaproszenie od właścicielki hotelu? Wiedział jednak dokładnie, dlaczego uległ: skorumpowała go perspektywa spędzenia weekendu w górskim hotelu, pośród śnieżnobiałych alpejskich szczytów i błękitnego nieba. Poza tym kobieta właściwie błagała go, żeby

przyjechał, bo przecież ostatniego lata uratował jej życie. To fakt. Zresztą nie tylko jej... Pocierając skronie, wrócił myślami do tego najczarniejszego rozdziału w swojej karierze zawodowej. Do przedstawienia amatorskiego teatru, do groźby ataku terrorystycznego... Potrzaskał głową, jakby miało mu to pomóc pozbyć się ponurych myśli.

I dokąd go to wszystko zaprowadziło? Siedział w przegrzanym jeepie gminnego lekarza z Altusried, trzymając bagaż na kolanach i walcząc z nudnościami. Żałował, że jednak się ugiął, kiedy Erika go błagała, a doktor Martin Langhammer nalegał, żeby pojechali – ten ostatni pędził teraz jak wariat swoim małym „zimowym samochodem” po krętej górskiej drodze i nie pozwalał Kluftingerowi otworzyć okna.

– Uwaga! – krzyknął nagle komisarz, gdyż zobaczył, jak jeden z przydrożnych słupków szybko się do nich zbliża.

Langhammer zareagował na to ostrzeżenie gwałtownym skrętem, który sprawił, że żołądek podskoczył Kluftingerowi do samego gardła.

– Bez obaw – odezwał się doktor spokojnym tonem. – Właśnie dlatego jedziemy samochodem terenowym. Wie pan, często mam wizyty domowe na odludziu, więc wyższe zawieszenie nie zaszkodzi.

Kluftinger przetarł dłonią boczną szybę. Przed kwadrantem intensywnie zaczął padać śnieg i zdążył już pokryć drogę kilkucentymetrową warstwą białej mazi.

– Tak, przy takiej pogodzie samochód terenowy rzeczywiście jest o wiele bezpieczniejszy. Ale wy pewnie macie całą masę radiowozów z napędem na cztery koła, prawda? – powiedziała Erika, usiłując podtrzymać między mężczyznami rozmowę na temat, który, jak sądziła, jest typowo męski.

– Mhm – mruknął jej mąż, wyraźnie dając do zrozumienia, co sądzi o tej inicjatywie.

– To znaczy... napędu na wszystkie koła to nasz jeep nie ma, prawda, Martinie? – rzuciła z przedniego fotela Annegret Langhammer.

Kluftinger, nasłuchując, wyprostował się, przynajmniej na tyle, na ile pozwalał mu trzymany na kolanach bagaż, a następnie pochylił się do przodu.

– Co? Ma pan jeepa bez napędu na cztery koła? To na czym niby polega jego wyższość nad zwykłym samochodem? Na tym, że właściwie nie ma w nim bagażnika, a walizki trzeba trzymać niemal na kolanach? A może chodzi o to, żeby poczuć wszystkie nierówności drogi jak w chłopskiej furmance? Takie wiejsko-alpejskie klimaty, co? – Szukając poklasku, spojrział w kierunku Eriki, która jednak nie okazywała zainteresowania tym, o czym rozmawiają mężczyźni, i znudzona wyglądała przez okno.

– Ach, jeszcze pan o tym nie słyszał? – odparł Langhammer, podjąwszy wyzwanie. – To taka nowa japońska moda. Chodzi o redukcję masy i lepszy bilans ekologiczny. Takie samochody nazywa się softroaderami...

Kluftinger prychnął i szyderczo wyszczerzył zęby. *Softroader*. Przez następny kwadrans w milczeniu napawał się tym słowem i nic nie mogło mu w tym przeszkodzić: ani ciężkie powietrze, ani bagaż, ani ciasnota na niewygodnej tylnej kanapie, ani nawet medytacyjna muzyka będąca mieszaniną świergotu ptaków i dźwięków ulicznego fletu, jaki można usłyszeć na miejskich deptakach.

Nagle doktor wyłączył radio i, patrząc w lusterko, oznajmił:

– No, kochani, koniec spania, czas poćwiczyć szare komórki, zgoda? Musimy potrenować przed czekającą nas w ten weekend trudną zagadką. Zwłaszcza pan, mój drogi. Kto jak kto, ale to właśnie pan może stracić swoją sławę!

„Prymuśnie”, pomyślał Kluftinger. Nie dość, że musi spędzać Sylwestra na tym odludziu na terenach położonych powyżej Oberstdorfu w towarzystwie zarozumiałego lekarza, to jeszcze razem z pozostałymi gośćmi ma wziąć udział w rozwikłaniu jakiejś kryminalnej zagadki. Rzecz jasna, wszyscy oczekują, że rozwiąże ją właśnie on – i to od razu, ma się rozumieć. Wła-

śnie tę obawę potwierdziły słowa wypowiedziane przed chwilą przez doktora.

– Teraz pan, drogi panie Kluftinger! – zawołał Langhammer, czym wyrwał komisarza z zamyślenia. – Do walizki pakuję stetoskop... – Doktor wyczekująco patrzył w lusterko. – No?

Komisarz nie zrozumiał.

– No jasne, że stetoskop. W pańskiej walizce. Przecież jest pan lekarzem.

– Nie, nie, chodzi o zabawę w *Pakuję swoją walizkę*. Mówię, co do niej pakuję, pan musi to powtórzyć i dodać coś swojego...

Kluftinger tylko pokręcił głową. Jeszcze tego brakowało, żeby wyjść na głupka przed tym konowalem.

– Nie znam tej zabawy! – skłamał, nie siląc się na uprzejmość.

– No nie – odparł Langhammer i zmarszczył czoło. – To niemożliwe! Przecież zna ją każde dziecko! Jeszcze raz: zabawa polega na tym, że każdy wymienia rzeczy, które...

– Stetoskop i plaster pasztetu! Dalej się nie bawię, bo i tak wszystkiego nie zapamiętam!

– Niechże pan da spokój i nie psuje nam frajdy!

Kobiety chętnie przyłączyły się do wspólnej zabawy, ale już po trzydziestu sekundach znów przyszła kolej na doktora.

– Do walizki pakuję stetoskop, plaster pasztetu, maseczkę ogórkową, dwie koszule nocne i piłkę lekarską – wyrecytował z pamięci, demonstracyjnie się nie zastanawiając. – Teraz pan, mój drogi!

– Przecież mówiłem, że się nie bawię, bo nie zapamiętam tych bzdur – mruknął Kluftinger.

– Mąż chyba ma migrenę. To pewnie przez nagłą zmianę pogody, prawda, Pączusiu? – zaszczebiotała Erika.

Kluftinger był wściekły. Migrena. Pączuś. Prymuśnie. Miał ochotę zaraz po dotarciu na miejsce zamówić taksówkę i wrócić do domu. Jedyne, co mogłoby mu w tym przeszkodzić, to koszty takiej eskapady.

– Ach, mój drogi, nie wiedziałem, że miewa pan migreny. W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że to stres, ale ponieważ jest pan urzędnikiem, ból głowy musi mieć inną przyczynę.

Po takim dowcipie doktora perspektywa wysokich kosztów powrotu taksówką do domu stała się mniej przerażająca.

– W mojej torbie lekarskiej na pewno znajdziemy coś, co panu pomoże. Bez obaw. Dopóki nie ma pan aury, wszystko jest w porządku. Chyba że ją pan ma?

– Na pewno większą niż twoja! – mruknął Kluftinger, jednak na tyle cicho, że szum silnika zagłuszył jego głos.

– Przy migrenie z aurą ma się zniekształcony obraz lub mroczki przed oczami. Bardzo dziwne uczucie, zapewniam pana.

– Mhm. Nie, w takim razie nie mam, przynajmniej nie w tym momencie. A teraz proszę o chwilę spokoju, żeby... – tu przerwał i, odwracając się do żony ze zgorzkniałą miną, dookończył – ...migrena minęła.

– To teraz moja kolej – odpowiedziała z werwą wyraźnie zadowolona Erika. – Do walizki pakuję stetoskop, plaster...



Kluftinger poczuł w nozdrzach zimne powietrze. Prawdopodobnie musiał się zdrzemnąć. Samochód stał przed hotelem, na którego froncie ogromnymi literami wypisano jego nazwę: „Królestwo”. Langhammer już dawno wysiadł.

– Jesteśmy na miejscu! – powiedziała z uśmiechem Erika, co spowodowało, że niezadowolenie Kluftingera ustąpiło łagodnej wyrozumiałości. Tak czy inaczej, nie mógł teraz odjechać i to wcale nie z powodu wysokiej ceny taksówki, lecz raczej ze względu na pewien emocjonalny imperatyw, dzięki któremu przetrwał już niejedną trudną sytuację. Po prostu łatwiej było mu znieść dyskomfort, gdy miał świadomość, że robi to dla Eriki.

Zsunąwszy z kolan torbę podróżną, wysiadł z samochodu. Tymczasem proszący śnieg zamienił się w siekącą zawieję. Komisarz schował głowę w ramiona, odwrócił twarz od wiatru, postawił kołnierz lodenowego płaszcza, a następnie cofnął się, żeby zabrać walizkę Eriki. Langhammer właśnie zaczął podawać pracownikowi hotelu swój dobytek – obok dwóch plastikowych walizek w bagażniku znajdowały się jeszcze dwa kuferki kosmetyczne, sportowa torba, jakiej używają profesjonalni surferzy, dwie pary włochatych śniegowców, kijki trekkingowe i dwa tak zwane miniboby, jeden neonoworóżowy, drugi jaskrawożółty. Niewielka walizka Eriki leżała na samej górze i akurat gdy doktor zamierzał przekazać ją bagażowemu, energicznie wkroczył komisarz.

– Nie, nie, sam ją zaniosę, jest prawie nowa! – zawołał, nie spuszczać wzroku z walizki, którą następnie porwał ze sobą.

W tym czasie Erika i Annegret zdążyły schronić się na ganku. Obładowany Kluftinger właśnie miał do nich dołączyć, gdy usłyszał sapanie. Odwrócił się. Portier próbował wyjąć z bagażnika jedną z dwóch ogromnych walizek Langhammera.

– Krucafuks! – wyrwało się mężczyźnie. – Ależ to ciężkie!

Kluftinger, szczerząc zęby, zawołał do niego:

– Nic dziwnego, w środku jest stetoskop, plaster pasztetu, maseczka ogórkowa, dwie koszule nocne, piłka lekarska, świnka skarbonka, świeca zapachowa, powieść kryminalna, słoik miodu, cztery opakowania chleba pełnoziarnistego, koc z wielbłądziej wełny, szwajcarski scyzoryk, para wełnianych skarpet, odtwarzacz DVD, laptop, poduszka, gra planszowa, dwie płyty DVD, obcinacz do paznokci, olejek do masażu i figurka Anioła Stróża. – Wymieniwszy wszystko, spojrzał z uśmiechem na wciąż zdumionego doktora i pewnie poszedłby dalej, brnąc przez śnieg ze swoimi walizkami, gdyby nie zatrzymał go portier.

– Proszę mi dać chociaż jeden bagaż, przecież jest pan naszym gościem! – powiedział dość opryskliwym tonem mężczyzna i dosłownie wyrwał Kluftingerowi z ręki jego torbę po-

dróżną. Niemrawe „Nie, nie trzeba!” komisarza zagłuszyła zawieja.

Prymuśnie. I co teraz? Nie chodziło nawet o to, że bał się o swój dobytek. Tym, co nie dawało mu spokoju, było pytanie, ile ma zapłacić bagażowemu. Klufftinger, ku niezadowoleniu żony, rzadko wyjeżdżał na urlop, a jeżeli już, to dokądś, gdzie na pewno nie było nikogo, kto nosiłby jego walizki. I co teraz? Kiedyś w jakimś filmie widział, że w Ameryce płacono od liczby bagaży. Czy tutaj też panuje taki zwyczaj? Może w Europie liczy się droga, jaką pokonuje bagażowy? Czy obowiązuje jakiś dodatek alpejski? A jeśli tak, to jaka jest ogólnie przyjęta stawka, żeby z jednej strony się nie skompromitować, a z drugiej niepotrzebnie nie szastać pieniędzmi?

Komisarz niezdecydowanym krokiem ruszył za swoją torbą, trzymając ją nawet za jeden z rogów, aby chociaż w ten sposób nieco odciążyć bagażowego i z czystym sumieniem dać mu potem niższy napiwek.

ZABAWĘ CZAS ZACZAĆ

Po wejściu do holu Kluftingerowi wrócił dobry humor. Hotel był dokładnie w jego guście: duże panoramiczne okna wychodziły na zaśnieżony ogród, podłogę w holu wyłożono jasnym kamieniem, a zadbane wnętrza sprawiało miłe, przytulne wrażenie. Poza tym najwyraźniej nie było tu tanio, co – musiał przyznać – najbardziej go ucieszyło, zwłaszcza że raczej nie mógłby sobie pozwolić na pobyt w tak luksusowym miejscu. Albo by nie chciał, co chyba bardziej odpowiadało prawdzie.

Obszerny hol recepcyjny wieńczył szklany dach, który przyciągał wzrok, kierując go do góry ku czterem pozostałym kondygnacjom. Poszczególne piętra miały formę galerii; za balustradami było widać drzwi ozdobione złotymi tabliczkami z numerami pokojów. Tymczasem niebo nad dachem bardzo się zachmurzyło i zaczęły spadać z niego ciężkie płatki śniegu, które po zetknięciu ze szkłem szybko topniały i ściekały cienkimi stróżkami. Był to spektakularny widok, który – jak przypuszczał komisarz – nie potrwa jednak zbyt długo, ponieważ jeśli wkrótce nie przestanie sypać, biała masa całkowicie przykryje szklany dach.

– Pięknie tutaj, prawda? – Erika przytuliła się do męża. Objęła jego ramię, a gdy się do niej odwrócił, spostrzegł, że rozgrywający się nad ich głowami spektakl oczarował również ją.

– Tak, bardzo pięknie – odpowiedział szczerze. Połączenie rustykalnej przytulności emanującej z licznych drewnianych elementów z nowoczesną, przejrzystą architekturą przypadało

mu do gustu. Rozejrzał się i zauważył, że Langhammerom też najwidoczniej się tu podoba.

– Całkiem nieźle, co? – zagadnął Kluftinger, nie kryjąc dumy, zwłaszcza że przecież to jemu zawdzięczali ten bezpłatny weekend. Chociaż, szczerze mówiąc, było w tym też trochę zasługi doktora. Ale niewiele.

– Tak, naprawdę wspaniale, drogi przyjacielu. A wszystko to zawdzięczamy panu – odrzekł doktor, przez co komisarzowi zrobiło się trochę wstyd, bo w myślach umniejszył zasługę Langhammera w tym względzie.

– Można? – Mężczyzna, który przedtem niósł walizkę Kluftingera, przeciskał się obok z bagażem Langhammera. Odsunęli się i dopiero teraz zauważyli, że w holu są jeszcze inni goście. Przy jednym z okien siedziała kobieta o surowym wyrazie twarzy i wąskich ustach, mająca jakieś czterdzieści pięć lat i zdaniem Kluftingera wyglądająca na cudzoziemkę. Nie wiedział dlaczego, ale jeśli chodzi o narodowości, prawie nigdy się nie mylił. Z powodu jasnej karnacji i blond włosów postawił na Szwecję lub inny kraj skandynawski. Był ciekaw, czy dobrze wytypował. Obok kobiety siedział młody, wysportowany brunet o długich, związanych w koński ogon włosach, a naprzeciw niego inny mężczyzna, opalony i całkiem siwy. Popijając z filiżanki kawę, poruszał nogami w takt dobiegającej z głośników muzyki. Właśnie, muzyka! Komisarz dopiero teraz zauważył, że hol wypełniały żywe dźwięki, co dodatkowo podkreślało pogodny klimat tego miejsca. Melodia wydawała mu się znajoma. Czy to nie...

– Ach, „Panna Marple” – szepnął mu do ucha jakiś głos. Odwrócił się i spojrzał w uśmiechniętą twarz doktora.

– Proszę?

– Ta melodia. Z serialu „Panna Marple”. Tatata-taataa-taata-tata... naprawdę urocza.

Oczywiście. Teraz sobie przypomniał. Był to temat z filmowych adaptacji książek Agathy Christie, w których rolę detek-

tywa amatora grała ta dziwaczna, otyła staruszka. Organizatorzy rzeczywiście o wszystkim pomyśleli.

– Panie Kluftinger! – Donośny kobiecy głos przetoczył się przez hol, zwracając uwagę pozostałych gości. – Komisarzu Kluftinger! Witam! – Kobieta stojąca za recepcyjną ladą zbudowaną z litego drewna pomachała do niego przyjaźnie.

Erika szturchnęła męża w bok.

– Popatrz, Julia König*.

– Tak, widziałem – odrzekł Kluftinger, który poczuł się zmieszany tym, że uwaga reszty gości skupiła się właśnie na nim. Odmachał pośpiesznie, a następnie razem z żoną szybkim krokiem przeszli przez hol, kierując się ku recepcji. Zanim zdążyli do niej dotrzeć, kobieta wyszła zza lady i uradowana podbiegła do nich.

– Nareszcie – powiedziała i rozpostarła ramiona. – Moi goście honorowi!

Kluftingerowi z jednej strony to schlebiało, z drugiej jednak wprawiało w pewne zakłopotanie – również dlatego, że właścicielka hotelu była bardzo atrakcyjna. Miętowozielony regionalny strój, który miała na sobie, pasował – przynajmniej zdaniem Kluftingera – idealnie do jej ściętych na pazia jasnych włosów i zdrowej, ciemnej karnacji. Jednak wzrok większości mężczyzn najpierw zatrzymywał się na jej obszernym dekolcie – za co Kluftinger oberwał od żony w żebra, a Langhammer musiał przyjąć karcące spojrzenie Annegret.

– Tak się cieszę, że pan przyjechał. Nawet nie ośmieliłam się mieć nadziei, że przyjmie pan moje zaproszenie. Z pewnością jest pan szalenie zajęty. – Julia König była nie do powstrzymania.

– Ach, nie jest aż tak źle – odpowiedział Langhammer, który, przeciskając się obok komisarza, przywitał się z właścicielką hotelu, całując ją dwa razy w policzek. Kluftinger, któremu

* Niem. *König* – król (nawiązanie do nazwy hotelu „Królestwo”) [przyp. tłum.].

podobne rytuały wydawały się podejrzone, podał jej jedynie rękę.

– Moja żona – powiedział i wskazał na Erikę. – A to... jego żona – dodał i spojrzął na Annegret, kiedy okazało się, że Langhammer sam nie kwapi się, aby przedstawić swoją lepszą połowę.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że mogę poznać tak sławną zawodniczkę – rzekła niemal z czcią w głosie Erika, potrząsając dłonią pani König.

Julia König machnęła ręką.

– Ach, co też pani mówi. Ekzawodniczkę. A do tego wcale nie taką znaną.

– Niech pani nie będzie taka skromna – zaprotestował Kluftinger. – Jakby nie było, była pani mistrzynią olimpijską w... yyy... superjeździe.

König spojrzała na niego badawczo, ponieważ nie była pewna, czy komisarz mówi serio, czy żartuje. Nie mogąc się jednak doszukać choćby śladu żartu, mruknęła tylko:

– Tak, tak, supergigant to dopiero było coś... ale upłynęło tyle czasu, że prawie nikt już o tym nie pamięta.

– Przecież to było najwyżej pięć lat temu – wtrącił przytomnie Langhammer, co u właścicielki hotelu wywołało udawany chichot.

– Ależ z pana numer! Mnie się wydaje, że minęła cała wieczność. To było w Sarajewie w 1984 roku, miałam wtedy dokładnie dwadzieścia lat. A więc byłam jeszcze dzieckiem, że tak powiem. – Roześmiała się głośno.

– Ja też uwielbiam jeździć na nartach – kontynuował Langhammer, który chyba nie zauważył, że Annegret oparła się znużona o ladę. – Może moglibyśmy kiedyś chwilę porozmawiać. Chciałbym się poradzić w kwestii doboru odpowiedniego wosku.

– Może lepiej byłoby poradzić się w kwestii skutecznej jazdy pługiem – mruknął Kluftinger, wspominając wspólny wyjazd na narty, po czym pociągnął Erikę w kierunku lady.

Tam usłyszeli, jak pewien elegancko ubrany mężczyzna, któremu komisarz mimo siwych włosów dawał najwyżej czterdzieści pięć lat, głośno skarży się na coś pracownikowi hotelu:

– Myślałem, że skoro hotel jest nowy, to wszystko będzie działać.

Pracownik hotelu, przysadzisty mężczyzna w czerwonej liberii, najpierw poddańczo przeprosił, a następnie dodał bez zastanowienia:

– Ale nasz hotel nie jest nowy, został tylko gruntownie odnowiony.

– Nie musi mi pan tego mówić, przecież wiem – fuknął mężczyzna. – I pewnie dlatego zostawiliście w nim te wszystkie zepsute rzeczy? – Przez cały czas bawił się przy tym złotawo połyskującą komórką. – Od razu wiedziałem, że w ogóle nie powinienem być tu przyjeżdżać. Głupi byłem, że dałem się nabrać na to zaproszenie.

Gdy padło słowo „zaproszenie”, Kluftinger wystrzył słuch. Nie wiedział, że inni goście również zostali zaproszeni. Nie rozumiał też, jak – skoro ma się wszystko za darmo – można zachowywać się tak, jak mężczyzna obok niego.

Tymczasem stanął przy nich Langhammer, a właścicielka hotelu wróciła na swoje miejsce za ladą. Kiedy skarżący się zauważył, że wszyscy go obserwują, uśmiechnął się przymilnie i w zaskakująco przyjaznym tonie kontynuował:

– Dobrze, rozumiem, że nic się nie da zrobić. To może po prostu skorzystam z hotelowego sejfu tu na dole, skoro mój nie działa.

– Oczywiście, żaden problem, pozwól, że osobiście się tym zajmę – rzuciła nagle Julia König. Jej głos był spokojny, a spojrzenie pewne. Kluftinger był dla niej pełen podziwu za to, że nawet wobec tak nieprzyjemnych typów potrafiła zachować grzeczność. Praca, w której miałby komuś usługiwać, definitywnie nie była dla niego. Zdecydowanie wolał etat w instytucji publicznej, gdzie otwarcie można powiedzieć, co się o kimś myśli.